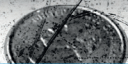
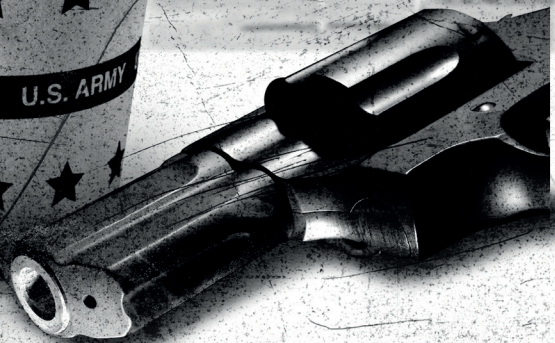


LEE CHILD

ADRES
NIEZNANY



Minuta ma sześćdziesiąt sekund, godzina sześćdziesiąt minut, doba dwadzieścia cztery godziny, tydzień siedem dni, rok pięćdziesiąt dwa tygodnie. Reacher przeliczył to wszystko w pamięci i wyszło mu, że rok ma nieco ponad trzydzieści milionów sekund. W tym czasie w samych Stanach Zjednoczonych popełnianych jest prawie dziesięć milionów przestępstw. Jedno mniej więcej na trzy sekundy. Czyli całkiem często. Zobaczenie jakiegoś na własne oczy, osobiście i z bliska, nie jest wcale takie nieprawdopodobne. Liczyło się oczywiście miejsce, w którym człowiek się znajduje. Większe szanse ma się w środku miasta niż na środku pastwiska.

Reacher był akurat w jakiejś zabitej deskami miejscinie w Maine. Nie w pobliżu jeziora. Nie w pobliżu wybrzeża. Nie poławiano tu homarów. Ale jakiś czas temu miejscowość musiała całkiem nieźle prosperować. To było jasne. Ulice były szerokie, budynki z cegły. Ślady dawnej świetności. W eleganckich niegdyś butikach mieściły się sklepy z tandetą. Ale nie wszystko było jeszcze stracone. W sklepach z tandetą przynajmniej czymś handlowano. Była też sieciowa kawiarnia. Z wystawionymi na zewnątrz stolikami. Ulice były prawie gwarne. Sprzyjała temu pogoda. Był pierwszy dzień wiosny – świeciło słońce.

Reacher skręcił w ulicę tak szeroką, że zamknięto ją dla ruchu i nazwano plazą. Między stojącymi z obu stron budynkami z gołej czerwonej cegły stały kawiarniane stoliki i kręciło się mniej więcej trzydzieści osób. Reacher objął wzrokiem całą scenę. Aktorzy znajdowali się w przypadkowych miejscach. Później uświadomił sobie, że pozycje tych najważniejszych można było opisać na przykładzie dużej litery T. On był u jej podstawy i patrzył w górę. Czterdzieści metrów przed nim, na wysokości poprzeczki T, znajdowała się młoda kobieta. Przechodziła z prawej do lewej przez szeroką ulicę, z jednego chodnika na drugi. Na ramieniu zawiesiła płócienną torbę na zakupy. Torba nie była chyba zbyt ciężka, w naturalnym kolorze, jasna na tle jej ciemnej bluzki. Dziewczyna mogła mieć dwadzieścia lat. Albo mniej. Może tylko osiemnaście. Szła powoli z podniesioną głową, wystawiając twarz do słońca.

I nagle po lewej stronie poprzeczki T pojawił się chłopak. Poruszał się o wiele szybciej, biegiem, i kierował prosto na nią. Był mniej więcej w tym samym wieku. W tenisówkach, obcisłych czarnych spodniach i bluzie z kapturem. Złapał torbę i zerwał ją z ramienia kobiety. Ta wywróciła się na ziemię, otwierając usta w czymś w rodzaju niemego krzyku. Chłopak w kapturze wcisnął pod pachę torbę jak piłkę do futbolu, skręcił w prawo i pognął wzdłuż pionowej kreski T, dokładnie tam, gdzie był Reacher.

A potem po prawej stronie poprzeczki T pojawili się dwaj faceci w garniturach. Szli tą samą trasą co wcześniej dziewczyna. Mieli mniej więcej dwadzieścia metrów do niej. Do napadu doszło dokładnie na ich oczach. Zareagowali tak, jak zrobiłaby większość ludzi. Na ułamek sekundy zastygli w bezruchu, wodząc wzrokiem za uciekającym chłopakiem, a potem podnieśli w niezborny sposób ręce i zawołali coś, co mogło brzmieć jak „Hej!”.

Następnie rzucili się w pogoń. Tak jakby starter strzelił z pistoletu. Biegli szybko, podnosząc wysoko kolana, z powiewającymi połami marynarek. Gliniarze, pomyślał Reacher. To musieli być gliniarze. Wskazywała na to ich zgodna reakcja. Nie spojrzeli nawet jeden na drugiego. Kto inny by się tak zachował?

Czterdzieści metrów od Reachera młoda kobieta podniosła się z ziemi i uciekła.

Gliniarze biegli dalej. Ale chłopak w czarnej bluzie miał nad nimi przewagę dziesięciu metrów i gnał wiele szybciej. Nie mieli szans go dopaść. W żadnym razie. Prawa fizyki.

Chłopaka w tym momencie dzieliło od niego dwadzieścia metrów. Biegł zygzakiem, robiąc zwody w lewo i w prawo. Do Reachera zostały mu trzy sekundy. Widział przed sobą jedyną oczywistą lukę. Jedyną wolną drogę. Dwie sekundy. Reacher dał krok w prawo. Została jedna sekunda. Kolejny krok. Reacher wyrznął chłopaka biodrem i posłał go wywijającego rękami i nogami na ziemię. Płócienna torba poszybowała w powietrzu. Chłopak przeleciał i przeturlał się po ziemi może jeszcze ze trzy metry i w tym momencie dopadli go faceci w garniturach. Wokół nich od razu zebrał się mały tłumek. Płócienna torba wylądowała na ziemi mniej więcej metr od stóp Reachera. Na górze miała zasunięty szczelnie zamek błyskawiczny. Pochylił się, żeby ją podnieść, ale potem się rozmyślił. Lepiej nie dotykać dowodów rzeczowych, lepiej zostawić je tam, gdzie są. Cofnął się o krok. Za jego ramieniem gromadzili się kolejni gapie.

Gliniarze pomogli oszołomionemu chłopakowi usiąść i skuli mu ręce za plecami. Jeden z nich został, żeby go pilnować, drugi podszedł i podniósł torbę. Robiła wrażenie płaskiej i lekkiej. Jakby spuszczone z niej powietrze. Jakby nic w niej nie było. Gliniarz popatrzył na otaczających go ludzi i skupił wzrok na Reacherze. Wyjął z kieszeni na biodrze

etui i wprawnym ruchem je otworzył. Za mleczną plastikową szybką widniała legitymacja. Detektyw Ramsey Aaron, z policji hrabstwa. Zdjęcie przedstawiało tego samego face'ta, tyle że młodszego i nie tak zdyszanego.

– Dziękuję bardzo, że nam pan w tym pomógł – powiedział Aaron.

– Drobiazg – odparł Reacher.

– Widział pan dokładnie, co się wydarzyło?

– Mniej więcej.

– W takim razie będę chciał, żeby złożył pan zeznanie na piśmie.

– Widział pan, że ofiara kradzieży uciekła?

– Nie, nie widziałem tego.

– Najwyraźniej nic jej się nie stało.

– Dobrze wiedzieć – rzucił Aaron. – Mimo to chciałbym, żeby złożył pan zeznanie na piśmie.

– Był pan bliżej ode mnie – zauważył Reacher. – To wydarzyło się dokładnie na pana oczach. Niech pan sam złoży zeznanie.

– Szczerze mówiąc, proszę pana, lepiej będzie, jeśli zeznanie złoży zwykły obywatel. To znaczy cywil. Członkom ławy przysięgłych nie zawsze podobają się zeznania policjantów. Takie czasy.

– Byłem kiedyś gliniarzem – rzucił Reacher.

– Gdzie?

– W wojsku.

– W takim razie jest pan nawet kimś lepszym od zwykłego obywatela.

– Nie mogę tu zostać do procesu – oświadczył Reacher. – Tylko tędy przejeżdżałem. Muszę ruszać dalej.

– Nie będzie żadnego procesu – zapewnił go Aaron. – Jeśli będziemy mieli naoczego świadka, który jest w dodatku wojskowym weteranem i doświadczonym policjantem,

obrona będzie musiała zawrzeć ugodę. To kwestia prostej arytmetyki. Plusów i minusów. Tak jak przy ocenie zdolności kredytowej. Tak to teraz działa.

Reacher nie odpowiedział.

– Proszę o dziesięć minut pańskiego czasu – podjął Aaron. – Widział pan to, co widział. Co się może stać złego?

– W porządku – zgodził się Reacher.

• • •

Dziesięć minut minęło, zanim cokolwiek się wydarzyło. Stojąc na ulicy, czekali, aż podjedzie radiowóz i zabierze chłopaka do komisariatu. W końcu się pojawił, a wraz z nim karetka, żeby sprawdzić jego parametry życiowe. Żeby ocenić, czy można go przesłuchać. Żeby uniknąć sytuacji, w której w niewyjaśnionych okolicznościach zmarłby podczas zatrzymania. Wszystko to zajęło sporo czasu. W końcu jednak załadowano chłopaka na tylne siedzenie, umundurovani usiedli z przodu i radiowóz odjechał. Gapie wrócili do swoich spraw. Reacher i dwaj gliniarze zostali sami.

Drugi policjant nazywał się Bush. Niespokrewniony z Bushami z Kennebunkport. On również był detektywem policji hrabstwa. Powiedział, że zaparkowali samochód w uliczce za rogiem. Pokazał gdzie. Tam właśnie zaczął się ich zaplanowany spacer w słońcu. Ruszyli teraz wszyscy w tamtą stronę. Wzdłuż pionowej kreski T, a potem w prawo wzdłuż poprzeczki; gliniarze wracali tam, skąd przyszli, Reacher podążał za nimi.

– Dlaczego uszkodzona uciekła? – zapytał.

– To coś, na co będziemy musieli znaleźć odpowiedź – odparł Aaron.

Samochodem okazał się stary ford crown victoria, sfatygowany, lecz nie zdezelowany. Czysty, lecz nie lśniący. Reacher siadł z tyłu, co wcale mu nie przeszkadzało, bo był to

zwyczajny sedan. Bez kuloodpornej szyby między przednimi i tylnymi siedzeniami. Która mogłaby się źle kojarzyć. I z masą miejsca na nogi, kiedy siadło się bokiem i oparło plecami o drzwi, co z przyjemnością zrobił, uznawszy, że tylne drzwi policyjnego samochodu nie otworzą się raczej pod lekkim naciskiem. Był przekonany, że ci, którzy zaprojektowali ten wóz, najprawdopodobniej zabezpieczyli pasażerów przed taką ewentualnością.

Po krótkiej przejażdżce dotarli do ponurego niskiego budynku z betonu na obrzeżach miasta. Na dachu były wysokie anteny i talerze satelitarne. Na parkingu stały w rzędzie trzy nieoznakowane sedany i samotny czarno-biały radiowóz, dalej było około dziesięciu wolnych miejsc i na samym końcu kompletnie rozbity niebieski SUV. Detektyw Bush zaparkował na miejscu oznaczonym D2. Wszyscy wysiedli. Na niebie nadal wisiało blade wiosenne słońce.

– Żeby pan nas źle nie oceniał – odezwał się Aaron. – Im mniej kasy pakujemy w nasze budynki, tym więcej możemy wydać na łapanie bandytów. Chodzi o właściwe priorytety.

– Mówi pan jak burmistrz – stwierdził Reacher.

– Zgadł pan. To słowa jednego z członków rady miejskiej. Dokładnie zacytowane.

Weszli na posterunek. Wewnątrz nie było tak źle. Reacher przez całe życie odwiedzał od czasu do czasu rządowe gmachy. Niekoniecznie eleganckie marmurowe pałace w Waszyngtonie, ale brudne zapuszczone budynki, gdzie sprawuje się prawdziwą władzę. A jeśli chodzi o luksusy, komisariaty policji hrabstw mieściły się mniej więcej w połowie skali. Ich głównym minusem były niskie sufity. Co wynikało z pecha. Nawet rządowi architekci ulegają czasami podszeptom mody i w czasach, kiedy karierę robiło słowo „atomowy”, preferowali przez krótki okres toporne betonowe konstrukcje, tak jakby ludziom w latach pięćdziesiątych miała do-

dać otuchy świadomość, że siły ładu i porządku rezydują w twierdzach odpornych na atak nuklearny. Bez względu na to, jakie przyświecały im cele, we wnętrzach, które były ciasne i zagracone, zbyt często ujawniała się atmosfera zamkniętego bunkra. Co stanowiło jedyny realny problem tego komisariatu. Reszta wydawała się raczej w porządku. Wystrój był może trochę spartański, ale komuś rozsądnemu powinno to wystarczyć. Miejsce wyglądało na takie, w którym dobrze się pracuje.

Aaron i Bush zaprowadzili Reachera do pokoju przesłuchań mieszczącego się przy korytarzu równoległym do tego, gdzie urzędowali detektywi.

– Nie załatwimy tego przy waszym biurku? – zapytał.

– Tak jak pokazują w serialach telewizyjnych? – odparł Aaron. – Nie wolno nam. Po jedenastym września już nie. Nieupoważnione osoby nie mają wstępu do pomieszczeń, w których prowadzi się działania operacyjne. A pan nie jest upoważniony, dopóki pańskie nazwisko nie pojawi się na oficjalnym dokumencie stwierdzającym, że współpracuje pan z nami w charakterze świadka. Którego to dokumentu oczywiście jeszcze nie wystawiliśmy. Poza tym jesteśmy dzięki temu lepiej kryci. Takie czasy. Gdyby miał pan się poślizgnąć i upaść, wolelibyśmy, żeby w pomieszczeniu była kamera i zarejestrowała, że w tym panu nie pomogliśmy.

– Jasne – odparł Reacher.

Weszli do środka. Pomieszczenie było standardowe. Jego opresyjny, przytłaczający charakter potęgowała świadomość tysięcy ton betonu, które otaczały tu człowieka ze wszystkich stron. Wewnętrzne ściany nie były otynkowane, lecz pomalowane tyle razy, że robiły wrażenie śliskich i gładkich. Farba była jasnozielona i efektu kolorystycznego nie łągodziły ekologiczne świetlówki. Całość mogła przypra-

wiać o chorobę morską. W przeciwległej ścianie osadzone było duże lustro. Bez wątpienia weneckie.

Reacher siadł przed nim, po tej stronie stołu, która przeznaczona była dla przesłuchiwanego, naprzeciwko Aarona i Busha, którzy mieli przed sobą bloki do pisania i całe garście długopisów. Na samym początku Aaron uprzedził, że rejestrowane będą głos i obraz. Następnie poprosił go o podanie nazwiska, daty urodzenia oraz numeru ubezpieczenia społecznego, które to dane Reacher wyrecytował im zgodnie z prawdą, bo dlaczego nie? Następnie Aaron poprosił go o podanie aktualnego adresu i to zapoczątkowało wielką debatę.

- Bez stałego miejsca zamieszkania – odparł Reacher.
- Co to znaczy? – zapytał Aaron.
- To, co słyszycie. To dobrze znane określenie.
- Nigdzie pan nie mieszka?
- Mieszkam w wielu miejscach. Każdej nocy gdzie indziej.
- W kamperze? Jest pan na emeryturze?
- Nie mieszkam w kamperze – odparł Reacher.
- Innymi słowy jest pan bezdomny – powiedział Aaron.
- Ale dobrowolnie.
- Co to znaczy?
- Przenoszę się z miejsca do miejsca. Dzień tu, dzień tam.
- Dlaczego?
- Bo to lubię.
- Podobnie jak turysta?
- Powiedzmy.
- Gdzie jest pański bagaż?
- Nie mam bagażu.
- Nie ma pan żadnych rzeczy?
- W sklepie na lotnisku widziałem małą książeczkę. Mamy się podobno wyzbyć wszystkiego, co nie sprawia nam radości.
- Więc wyrzucił pan swoje rzeczy?

– Już wcześniej ich nie miałem. Doszedłem do tego przed wielu laty.

Aaron spojrział niepewnym wzrokiem na swój blok do pisania.

– Więc jakie słowo najlepiej pana określa? Włóczęga?

– Wędrowny. Występujący w wielu miejscach. Przejściowy. Epizodyczny – odparł Reacher.

– Czy zwolniono pana ze służby wojskowej z jakiegoś rodzaju diagnozą?

– Czy osłabiłoby to moją wiarygodność w charakterze świadka?

– Mówiłem już panu. To jest jak ocena zdolności kredytowej. Brak stałego adresu nie jest dobry. Jeszcze gorszy byłby stwierdzony stres pourazowy. Obrona mogłaby zgłosić zastrzeżenia co do pańskiej poczytalności. Mogliby podważyć pańskie zeznanie.

– Służyłem w sto dziesiątej jednostce żandarmerii wojskowej – powiedział Reacher. – Nie obawiam się stresu pourazowego. To stres pourazowy obawia się mnie.

– Sto dziesiąta? Co to takiego?

– Elitarna jednostka.

– Jak długo jest pan w stanie spoczynku?

– Dłużej, niż byłem na służbie.

– No dobrze – mruknął Aaron. – W końcu to nie ja będę decydował. Dziś wszystko zależy od liczb, tak po prostu. Procesy toczą się we wnętrzu laptopów. Specjalny software. Dziesięć tysięcy symulacji. To dominujący trend. Kilka punktów w tę lub inną stronę może mieć zasadnicze znaczenie. Brak stałego adresu nie jest korzystny, nawet bez innych minusów.

– Albo wam to pasuje, albo nie.

Pasowało, zgodnie z tym, czego spodziewał się Reacher. Wszystko mogło im się przydać. I zawsze mogli później

z czegoś zrezygnować. Absolutnie normalne. Mnóstwo dobrej roboty idzie na marne nawet w sprawach, które są z pozoru nie do przegrania. Zrelacjonował więc to, co zobaczył, starannie, metodycznie, wyczerpująco, od początku do końca, od lewej do prawej, z góry do dołu, i zgodzili się później wszyscy, że nie ma więcej nic do dodania. Aaron kazał Bushowi spisać i wydrukować zeznanie, żeby Reacher mógł je podpisać.

– Jeszcze raz dziękuję – powiedział, kiedy Bush wyszedł na korytarz.

– Drobiazg – rzucił Reacher. – A teraz niech pan mi powie, dlaczego was to tak interesuje.

– Jak pan sam widział, rzecz wydarzyła się na naszych oczach.

– Co, jak zaczynam sądzić, wydaje się najbardziej ciekawe. To znaczy, jakie były szanse? Detektyw Bush zaparkował na miejscu D dwa. Co oznacza, że w zespole detektywów jest na drugim miejscu. Ale to on prowadził samochód i teraz to on załatwia za pana papierkową robotę. Co oznacza, że pan jest numerem pierwszym. I że dwie najważniejsze szczy w komisariacie policji hrabstwa zupełnie przypadkowo przechadzały się na słońcu dwadzieścia metrów od dziewczyny, która została akurat napadnięta.

– Zbieg okoliczności – odparł Aaron.

– Moim zdaniem, śledziliście ją – powiedział Reacher.

– Dlaczego pan tak sądzi?

– Bo najwyraźniej nie obchodzi was, co się z nią później stało. Prawdopodobnie dlatego, że wiecie, kim jest. Wiecie, że wkrótce wróci, żeby wam o wszystkim opowiedzieć. Lub wiecie, gdzie ją znaleźć. Bo ją szantażujecie. Albo to wasza informatorka. Albo jest tak jak wy policjantką i pracuje pod przykrywką. Tak czy inaczej, jesteście przekonani, że nic jej nie będzie. Nie martwicie się o nią. Interesuje was przede wszystkim torba. Dziewczyna została brutalnie napadnięta,

ale wy zabezpieczyliście przede wszystkim torbę. To ona jest dla was ważna. Choć nie bardzo wiem dlaczego. Wydała się pusta.

– Wygląda to na jakiś wielki spisek, prawda?

– To pan użył słów, które na to wskazują – odparł Reacher. – Podziękował mi pan za pomoc. Pomoc w czym dokładnie? W sytuacji trwającej ułamek sekundy? Gdyby o to chodziło, nie użyłby pan takich słów. Cholera, powiedziałby pan, to było coś, prawda? Albo coś podobnego. Lub podniósłby pan po prostu brew. Na znak porozumienia, żeby przełamać pierwsze lody. Jakbyśmy byli dwoma zwykłymi ucinającymi gadkę facetami. Tymczasem podziękował mi pan całkiem formalnie. „Dziękuję bardzo, że nam pan w tym pomagał”, powiedział pan.

– Chciałem być uprzejmy – stwierdził Aaron.

– Moim zdaniem tego rodzaju oficjalne podejście nie może być spontaniczne. I powiedział pan „w tym”. W czym? Żeby przyswoić sobie coś jako „to”, potrzebował pan, według mnie, więcej niż ułamka sekundy. Musiał pan to zrobić już wcześniej. I użył pan aspektu niedokonanego. Powiedział pan, że wam pomagałem. Co sugeruje, że miał pan na myśli coś trwającego dłużej. Coś, co zaczęło się, zanim ten chłopak wyrwał dziewczynie torbę, i będzie trwało dalej. Użył pan poza tym liczby mnogiej. Pomagałem wam. Panu oraz Bushowi. W czymś, co pan już sobie przyswoił, co trwało od pewnego czasu i co wymknęło się trochę spod kontroli, lecz w ostatecznym rozrachunku szkody udało się zminimalizować. Myślę, że właśnie za taką pomoc mi pan dziękował. Bo odczuwał pan dużą ulgę. Bo gdyby chłopakowi udało się uciec, mogło się to skończyć o wiele gorzej. Dlatego powiedział pan „dziękuję bardzo”. Z o wiele większym przekonaniem, niż gdyby chodziło o trywialny napad. Ta sprawa była dla pana bardzo ważna.

– Byłem grzeczny.

– I sędzę, że moje zeznanie jest głównie dla szefa policji i członków rady miejskiej, nie na użytek gier komputerowych. Żeby im udowodnić, że to nie była wasza wina. Żeby pokazać, że to nie wy o mało nie spieprzyliście jakiejś trwającej od dłuższego czasu operacji. Dlatego potrzebowaliście cywila. Dobra była każda osoba trzecia. W przeciwnym razie pan i Bush musielibyście składać zeznania we własnej sprawie, wzajemnie się kryjąc.

– Wybraliśmy się na spacer.

– Nawet na siebie nie spojrzeliście. Bez chwili zastanowienia rzuciliście się w pogoń za tą torbą. Myśleliście o tej torbie przez cały dzień. Albo przez tydzień.

Aaron nie odpowiedział i Reacher nie miał sposobności tego z nim przedyskutować, ponieważ w tym momencie drzwi się otworzyły i pojawiła się w nich głowa kogoś innego. Kto dał detektywowi znak, że chce z nim zamienić słówko. Aaron wyszedł i zatrzasnęły się za nim drzwi. Ale zanim Reacher zaczął się martwić, czy go przypadkiem nie przytknęli, otworzyły się ponownie i Aaron zajął do pokoju.

– Dalszy ciąg przesłuchania poprowadzą inni detektywi – oznajmił.

Drzwi ponownie się zatrzasnęły.

I ponownie otworzyły.

Pierwszy wszedł facet, który wsadził przed chwilą głowę do pokoju. W ślad za nim ktoś bardzo do niego podobny. Obaj wyglądali jak klasyczni mieszkańcy Nowej Anglii na historycznych czarno-białych fotografiach. Produkt wielu pokoleń ciężkiego znoju i surowych samoograniczeń. Obaj chudzi i żyłaści, same ścięgna i więzadła, skóra i kości. Obaj mieli na sobie luźne spodnie i niebieskie sportowe marynarki, a pod nimi kraciaste koszule. Ostrzyżeni na zapalkę. Żadnej dbałości o styl. Czysta funkcjonalność.

Oświadczyli, że pracują w Agencji Zwalczenia Narkotyków stanu Maine. I że dochodzenia prowadzone przez stan mają pierwszeństwo przed dochodzeniami prowadzonymi przez hrabstwo. Dlatego przejęli śledztwo. I mają kilka pytań na temat tego, co widział Reacher.

Usiedli na krzesłach, które zwolnili Aaron i Bush, i przedstawili się. Ten po lewej nazywał się Cook, ten po prawej Delaney. Wyglądało na to, że ten pierwszy jest tu szefem. Że to on będzie trzymał gadkę. O tym, co Reacher widział, wyjaśnił. O niczym więcej. Nie ma się czego bać.

– Przede wszystkim chcielibyśmy pochylić się nad pewnym szczególnym aspektem – powiedział jednak chwilę później. – Uważamy, że nasi koledzy z hrabstwa potraktowali go nieco po macoszemu. W zasadzie go pominęli, co zresztą zrozumiałe.

- Co takiego pominęli? – zapytał Reacher.
- Jaki był dokładnie stan pana umysłu, jeśli chodzi o intencje, w momencie, gdy wyrzucił pan tego chłopaka?
- Serio?
- Własnymi słowami.
- Iloma?
- Iloma pan chce.
- Pomagałem glinom.
- Nic poza tym?
- Byłem świadkiem przestępstwa. Sprawca biegł prosto na mnie. Był szybszy od tych, którzy go ścigali. Nie miałem wątpliwości, że jest winny. Więc stanąłem mu na drodze. Nie odniósł zresztą poważniejszych obrażeń.
- Skąd pan wiedział, że ci dwaj mężczyźni są policjantami?
- Takie odniosłem pierwsze wrażenie. Słusznie czy niesłusznie?

Delaney milczał.

– Teraz niech pan mi powie, co pan widział – poprosił po chwili.

– Słuchaliście chyba, panowie, jak relacjonowałem to po raz pierwszy.

– Słuchaliśmy – potwierdził Delaney. – Słuchaliśmy też rozmowy, którą odbył pan później z detektywem Aaronem. Kiedy detektyw Bush wyszedł z pokoju. Wygląda na to, że widział pan więcej, niż zawarł pan w swoim zeznaniu. Wygląda na to, że zobaczył pan coś, co świadczy o zakrojonej na dużą skalę operacji.

– To były domniemania – zaznaczył Reacher. – Nie kwalifikowały się do tego, by umieścić je w zeznaniu.

– Z powodów etycznych?

– Zapewne.

– Jest pan człowiekiem etycznym, panie Reacher?

– Staram się, jak mogę.

– Ale teraz może pan się otworzyć. Zeznanie zostało złożone. Może pan mówić wszystko, co dyktuje panu serce. Co pan zobaczył?

– Dlaczego mnie o to pytacie?

– Bo możemy mieć problem. Może będzie pan nam mógł pomóc.

– W jaki sposób?

– Był pan w żandarmerii wojskowej. Wie pan, jak to wszystko funkcjonuje. Widzi pan szerszy obraz. Co pan zobaczył?

– Zobaczyłem, jak mi się zdaje, że Aaron i Bush śledzą dziewczynę z torbą. W ramach jakiejś obserwacji. Obserwacji przede wszystkim torby. Kiedy doszło do zdarzenia, kompletnie zignorowali dziewczynę. Najprawdopodobniej dlatego, że miała przekazać torbę nieznanemu w tym momencie podejrzanemu. Na innym etapie. W innym miejscu. Tak jak dostarcza się towar albo pieniądze. Może ważne

było śledzenie samej wymiany. Może nieznany podejrzany jest ostatnim ogniwem łańcucha. Stąd wysoki status naocznych świadków. Albo niekoniecznie. Tyle że plan spalił na panewce, ponieważ w akcję wtrącił się los w postaci przypadkowego złodziejaszka. Zwyczajny pech. Zdarza się najlepszym z nas. I nie jest to jakaś wielka tragedia. Jutro mogą to powtórzyć.

Agent Delaney pokręcił głową.

– Mówimy o szemranych interesach. Mamy do czynienia z ludźmi, dla których jest pan martwy, jeśli nie stawi się pan na umówione spotkanie. Ta sprawa jest zakończona.

– W takim razie bardzo mi przykro – powiedział Reacher. – Zdarza się. Najlepiej będzie się z tym pogodzić.

– Łatwo panu mówić.

– Nie mój cyrk. I nie moje małpy. Tylko tamtędy przechodziłem.

– O tym też chcielibyśmy porozmawiać. Jak moglibyśmy się z panem skontaktować, gdybyśmy tego potrzebowali? Ma pan przy sobie komórkę?

– Nie.

– Więc jak kontaktują się z panem ludzie?

– Nie kontaktują się.

– Nawet rodzina i przyjaciele?

– Nie mam już nikogo z rodziny.

– I żadnych przyjaciół?

– Nie takich, do których wydzwaniałbym co pięć minut.

– Więc kto w ogóle wie, gdzie pan jest w danej chwili?

– Ja – odparł Reacher. – To mi wystarcza.

– Na pewno?

– Do tej pory nikt nie musiał mi przychodzić na ratunek. Delaney pokiwał głową.

– Wróćmy do tego, co pan widział.

– Do której części?

– Do wszystkich. Może ta sprawa nie jest jeszcze zamknięta. Czy może być jakaś inna interpretacja?

– Wszystko jest możliwe – odparł Reacher.

– Jakiego rodzaju rzeczy są możliwe?

– Kiedyś płacono mi za udział w takich dyskusjach.

– Możemy panu zaoferować filiżankę tutejszej kawy.

– Zgodą. Czarną, bez cukru.

Cook poszedł po kawę i kiedy wrócił, Reacher upił kilka łyków.

– Dziękuję – powiedział. – Po przeanalizowaniu wszystkich za i przeciw uważam jednak, że to był czysty przypadek.

– Niech pan użyje wyobraźni – zachęcił go Delaney.

– Użyjcie swojej.

– Dobrze. Przypuścmy, że Aaron i Bush nie wiedzieli, gdzie, kiedy, z kim i jak, ale generalnie spodziewali się, że torba zostanie przekazana komuś innemu.

– Dobrze, przypuścmy – zgodził się Reacher.

– I może dokładnie to właśnie zobaczyli. Tyle że nieco wcześniej, niż oczekiwali.

– Wszystko jest możliwe.

– Ze strony przeciwnika możemy się spodziewać zaskakujących i zakamuflowanych działań. Mogli wyznaczyć gdzieś pozorowane spotkanie i planować zwinięcie torby po drodze. Z zaskoczenia. Co jest najlepszym sposobem zakłócenia obserwacji. Może nawet wcześniej to przeciwcyli. Z tego, co pan mówił, dziewczyna dała się dość łatwo okraść. Powiedział pan, że przewróciła się na ziemię, a potem podniosła się i uciekła.

Reacher pokiwał głową.

– Co oznacza, że, waszym zdaniem, nieznanym podejrzanym był chłopak w czarnej bluzie – powiedział. – Twierdzicie, że to on od samego początku miał przejąć torbę.

Delaney pokiwał głową.

– A my go złapaliśmy, w związku z czym operacja zakończyła się właściwie pełnym sukcesem.

– To dla was bardzo wygodne.

Agent nie odpowiedział.

– Gdzie jest teraz ten chłopak? – zapytał Reacher.

Delaney wskazał drzwi.

– Dwie cele dalej. Wkrótce zabieramy go do Bangor.

– Puścił farbę?

– Na razie nie. Na razie jest dzielnym małym żołnierzem.

– Może w ogóle nie jest żołnierzem.

– Uważamy, że jest. I naszym zdaniem puści farbę, kiedy tylko zda sobie sprawę, że jest po uszy w gównie.

– Widzę pewien duży problem – zaznaczył Reacher.

– Jaki?

– Torba wydawała mi się pusta. Co to miałyby być za dostawa czy zapłata? Nie uzyskacie wyroku skazującego, kiedy wyjdzie na jaw, że śledziliście pustą torbę.

– Torba nie była pusta – odparł Delaney. – Przynajmniej na początku.

– Co w niej było?

– Jeszcze do tego przejdziemy. Najpierw musimy się cofnąć. Do pytania, które zadałem panu na samym początku. Dla pewności. Na temat stanu pańskiego umysłu.

– Pomagałem glinom.

– Na pewno?

– Martwicie się o odpowiedzialność za szkody? Jeśli byłem cywilem udzielającym pomocy siłom ładu i porządku, to obejmuje mnie ich immunitet. Poza tym chłopak nie odniósł poważnych urazów. Ma tylko kilka sińców. I zadrapane kolano. To żaden problem. Chyba że macie tutaj naprawdę dziwnych sędziów.

– Nasi sędziowie są w porządku. Jeśli rozumieją kontekst.

– A jaki może tu być inny kontekst? Byłem świadkiem

przestępstwa. Ze strony policji widać było zdecydowany zamiar ujęcia sprawcy. Pomogłem im. Chcecie powiedzieć, że macie z tym jakiś problem?

– Wybaczy nam pan na chwilę? – zapytał Delaney.

Reacher nie odpowiedział. Agenci wstali, podeszli do drzwi i opuścili pokój. Drzwi się zatrzasnęły. Tym razem Reacher był już pewien, że zamknęli go na klucz. Zerknął na lustro, ale zobaczył wyłącznie swoje odbicie w zielonkawoszarym odcieniu.

Dziesięć minut pańskiego czasu. Co się może stać złego?

Przez długie trzy minuty nic się nie działo. Po ich upływie agenci wrócili do pokoju i usiedli, Cook po lewej, Delaney po prawej.

– Twierdzi pan, że udzielał pomocy siłom ładu i porządku – powiedział ten drugi.

– Zgadza się – odparł Reacher.

– Czy chciałby pan zmienić to zeznanie?

– Nie.

– Jest pan tego pewien?

– A wy nie?

– Nie – oświadczył Delaney.

– Dlaczego?

– Naszym zdaniem prawda wygląda inaczej.

– To znaczy jak?

– Naszym zdaniem chciał pan odebrać torbę chłopakowi.

W taki sam sposób, w jaki on odebrał ją dziewczynie. Naszym zdaniem był pan drugim zaskakującym i niespodziewanym intruzem.

– Torba wylądowała na ziemi.

– Mamy świadków, którzy zeznali, że pochylił się pan, żeby ją podnieść.

– Ale się rozmyśliłem. Zostawiłem ją na ziemi. Podniósł ją detektyw Aaron.